

Kazimierz Burnat

Powszedniość

Powiew
niedopowiedzianej przeszłości
kreśli twój obraz

kolorami imaginacji
retuszujesz niespełnienia

w oczekiwaniu na zmianę
jedynie ból niejednostajny

* * *

Godziny
jak krople deszczu
wyplukują z ciebie co najlepsze

na zdjęciu rentgenowskim
coraz mniej szczegółów
ostatnie porcje cieni
chłonnie mrok

nienaruszona konstrukcja duszy
bogatsza o ślady pośpiechu
wypłowiatego ciała
zacumuje do przystani

z najgłębszych pokładów
urzeczywistni wieczność
milczeniem

godziny jak krople deszczu
nieświadome własnego czasu
nakładają na siebie

sekundy unicestwiają

Odwrót

Powracają wspomnienia

zmasowane myśli
przeciągają przez umysł
by słowami
wypeścić gniazdo ciszy
na drzewie
ukorzenionym w miejscu
przecięcia czasów

Nadzieja

Grając na strunach prześwitu
muzykę ciemnej mazi
zarzuciłeś na plecy
cienie nocy

omackiem
dotarłeś do źródła
wyznaczając szlak

posiniaczeniem szarości

na pustostanie pagóra
plama światła
opływa zбочa

Zniewolenie

Po nabraniu pewności
zrzuciła maskę zawstydzienia

o zmierzchu
połączyli oddechy
zachłanne ruchy ciała
nie współgrały z ego
po paru chwilach bezruch
sen

świt odkrył rozczarowanie

sama nagość
czekiem
bez pokrycia

Cyniczna gra

Prawda uderzyła go w twarz
upadł

zwątpienie narastało
więc łzami śmiechu
dobrał barwy
malując na twarzy
wzburzenie

już w pierwszym akcie
garścią światła
rzucił w twarz
aby dostrzec odbicie roli
w szarym lustrze
kałuży

nie rozdzierajcie szat
jest nagi

Iluzja

Spojrzenia przerywane
wzruszeniem ramion ojca
zakłócają przenikanie ciszy
pragnącej wreszcie wykrzyczeć –
oto miłość

głos spłynąłby zapewne
po ścianie lżą
chropowatą od soli

trafić na źródło
twórczego niepokoju
to bardzo wiele
aż nadto

niech więc cisza trwa
narasta ascetycznym oczekiwaniem
na zaspokojenie Głodu

na krzyk za wcześniej

Igor Aleksandrowicz Jelisiejew

Imię Twoje

Jak masz na imię, me przeznaczenie?
Ja nie pasuję do żadnych form
i na sąd czekam już z utęsknieniem...
Odpowiedziało: „Elohim!”

Jak masz na imię, duszo ty moja?
Ot – wieczność gwizdże w szczelinach strof,
co ułożyłaś mi, udreńczona ...
Odpowiedziała: „Sawaof!”

Jak masz na imię, miłości moja?
Szukam cię od początku po kraj.
Czyje jeść mogę krew i ciało?
Odpowiedziała: „Adonai!”

Jak masz na imię, smutku ogromny,
pierwszy, ostatni oddechu mój,
wiosny obszarze nieogarniony? ...
Niebo zagrzmiało nagle: „Bóg!”

Nadchodzi noc

Jak śliski nóż gilotyny,
zapada ciemność, i z nagłą
potoczył się przez równiny
księżyc, jak głowa martwa...

Tak w życiu, przeważnie bladym,
tworzy się wojny, jak bóstwa,
przez wieki zniszczyła krwawo
niejeden kraj rewolucja.

I widać, w mroku niechętnym,
płynący w oku zmurszałym
Rosji zewłok opuchnięty –
i raki, pełzające na nim.

Pozwól, wyłączę tę wizję.
Lecz cóż, nie do końca zgasła.
Pod tym obrazem straszliwym
wciąż błyszczą krwawa gwiazda.

* * *

Znowu wieczór. Chmury opadają.
Lekki wiatr ponad nimi przeleciał.
Razem z gwiazdą ciągle rozedrganą
wszystko mnie zmęczyło na tym świecie.

Zamierzałem świecić bardzo jasno,
miałem zamiar błyszczeć bardzo długo.
Tylko życie moje w błoto wpadło,
było tęczą – stało się szarugą,

każdy dzień trudniejszy się wydaje,
to co proste, zbyt ciężkie się stało.